

9. O ZAWODZIE PISARSKIM.

Warszawa, w maju 1898.

W »Tygodniku Ilustrowanym« zwrócił moją uwagę tytuł artykułu: »Skrzydła lepione z chleba«. Przyznaję, czytuję chętnie »figle naukowe« w ilustracjach; artykuł zaciekał mnie tem więcej, gdy spostrzegłem podpis p. A. N., niepospolitego poety.

Rozumie się — nic z figlów; sprawa bardzo poważna. Autorowi chodzi o charakter dzisiejszej wytwórczości literackiej, znajdującej się w rękach »procederzystów«, którzy pracując jedynie dla chleba, skrzydłami z chleba się posługują.

Europa — według obliczenia autora — wytwarza teraz rocznie 20 tysięcy książek. »Wobec tak olbrzymiego napływu książek blaknąć poczyną

*) »Tygodnik Ilustrowany« z r. 1898. Polemikę prowadziłem w »Głosie« warszawskim.

legendowy czar książki«. Pomimo, że tak dużo się wydaje na świat, jakość ich musi być poślednia, skoro »mówi się« zaledwie o kilku lub kilkunastu z tych książek. »Jeżeli — pisze N. — można niemal dostać zapalenia oczu na samą myśl przeczytania 20 tysięcy książek rocznie, to zarazem chce się mimowolnie zatknąć rękoma uszy na myśl, że równocześnie skrzypi jakieś 20 tysięcy piór autorskich... Są to (ci autorzy) w ogromnej większości ludzie, którzy literaturę uważają za proceder. Ci procederzyści są gigantyczną kulą u nogi piśmiennictwa«...

Następnie autor stara się określić, kogo nazywa mianem procederzysty. Ma na myśli literata, piszącego dla chleba wiele a źle, pismaka, który broni się od krytyki syndykatami wzajemnej adoracji, ucieka się do reklamy, a wreszcie zanieczyszcza »publiczne studnie umysłowości«. Taki procederzysta ma skrzydła lepione z chleba.

Wydaje mi się, że zbyt treściwie, zbyt pobieżnie N. rzucił te myśli, bo całość nie wiąże się w jeden przekonujący argument.

To, co powiedział o »procederzyście« w drugiej części artykułu, zdradza, że myślał wtedy przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, o dziennikarzu, tymczasem pociągnął do odpowiedzialności wytwórczość książkową; miał na celu wytknięcie palcem literatów niesumiennych, których mógł nazywać fuszerami, tandeciarzami, i tych można istot-

nie, jeśli nie zabić, to nakryć klapką dziennikarskiego artykułu; tymczasem nazywa ich mianem procederzystów, nie bacząc, że z początku samego zastosował to miano do »ogromnej większości« 20 tysięcy autorów książek.

Nazwa taka ogromnej większości pisarzy ma znaczenie zgoła odmienne od tej, jaką można ochrzcić »fuszerów«, których miał autor na myśli; dotychczas nazywaliśmy tę większość literatami z zawodu. Tak, są to zawodowcy, profesjonści; i literaci tylko z dumą mówić mogą o tym najszlachetniejszym z zawodów, że się stał zawodem. Z dumą, dlatego że zyskali niezależność, podczas gdy dawniej żyli z protektorów. Czy nam żał dawnego »kapłaństwa« literackiego? Bynajmniej. Teraz dopiero możemy być sobą, odkąd zeszliśmy do roli wyrobników; robimy wedle sił rzecz publiczną i społeczeństwo ma możliwość wynagradzania nas wedle zasług: od nikogo nie zależy, tylko od swego zasobu wewnętrznego i od ogółu. A jeżeli ogół się myli i wynagradza czasem nad zasługę, a innych krzywdzi, to nie tyle procederzyści temu winni, ile niedojrzałość umysłowa ogółu. My, jako organ umysłowości ogólnej, nie kto inny, cierpieć przedewszystkiem musimy i cierpimy w tym wypadku razem z ogółem.

— — — — —

Z 20 tysięcy książek, które się ukazały w Europie w r. 1897, jedna, napisana przez Spencera, nosi tytuł »Instytucje zawodowe«. Jest to dobra książka, jedna z tych kilku, o których powinno się nie tylko »mówić«, ale które powinno się też czytać. Jest tam rozdział o literatach.

»Wistocie — mówi Spencer — ciekawe jest to, że nowoczesny literat pozostawał przez długi czas w takim samym względnie położeniu, jak dawny minstrel. Trzymał się poły króla albo jakiego wielkiego pana i musiał układać, jeśli nie wierszem, to prozą tkliwe pochwały na cześć swego patrona. Dopiero w czasach najnowszych literat usamodzielniał się i dopiero wzrost księgarstwa umożliwił znacznej liczbie pisarzy pobieranie dochodów znośnych«.

Teraz dopiero — ciągnijmy dalej — literat zaczął pracować na chleb; te jego skrzydła z chleba mogą być ciężkie, ale cięższe były skrzydła z dawnych marcepanów pańskich. Naturalnie w każdej gałęzi świadome regulowanie wytwórczości wychodzi z korzyścią dla niej i odbiorców, ale żyjemy w czasach, kiedy to regulowanie nigdzie nie jest łatwe, a w sferze literatury, gdzie każdy jest wytwórcą i wyrobnikiem — jeszcze niemożliwsze i wątpliwe, czy pożądane.

Nie wiem, czy to nawet może być rzeczą gustu dla dziennikarza nowożytnego, ale dla mnie jest to widok wspaniały te 20 tysięcy piór w ro-

bocie. Gdyby mi danem było słyszeć, jak »trawa rośnie«, to nie wiem, czy w porę wiosny szmery budzącej się do życia natury radowałyby mię tyle, co skrzypienie 20 tysięcy piór, na które N. zatyka uszy.

Nie może to być rzeczą gustu, bo jest rzeczą rozumienia potrzeby z jednej strony i konieczności z drugiej. Wzrost stały wytwórczości literackiej, dyktowany dotąd prawem ogólnego rozwoju cywilizacji jest błogosławiony. Sądzę, że jest dotąd zbyt mały. Nie jestem mocny w statystyce wydawniczej europejskiej, ale sądząc ze zjawisk najbliższych, myślę, że za mało książek wychodzi. Mogłoby ich być za dużo tam, gdzie inne środki cywilizacyjne nie przygotowały na czas dostatecznych zastępów mas czytających i pragnących czytać; ale widzimy, jak do tego daleko u nas: masy gotowe czekają na książki, a tych jest mało pomimo wszystko, co mówimy o nadprodukcji. Cóż dopiero kłopotać się o innych? Kto określi granice chłonności umysłu ludzkiego lub jego wydajności?

Widok książki był dawniej poetyczniejszy, jeśli o to autorowi artykułu chodzi; książka była niemal tak urocza... jak kwiat paproci. Ale tych czasów żałować nie wypada. Niechaj sobie »blaknie legendowy czar książki«, aby tylko wzrastał czar pożytku duchowego. A ten wzrasta. Dzisiaj książkę sieją, jak zboże, jest ona »chlebem« powszednim — to prawda, ale im więcej jej spożywamy,

tem więcej rozkoszy dać jest nam w stanie. Nie żałujmy czasów legendowych, bo żyjemy w takich, jakichby nam porządnie zazdrościli dawni legendowi miłośnicy książek.

— — — — —

Literatura nowoczesna nie może być inną, tylko zawodową; zawodowość — według mnie — jest nieodzownym warunkiem istnienia nowożytnego piśmiennictwa, warunkiem jego świetności i przystosowania do potrzeb społeczeństwa. Twierdząc wreszcie, że nie mamy racji żałować czasów literatury nadwornej, bo książce uspołecznionej jest dzisiaj tak dobrze na świecie, że zazdrościliby jej losu pisarze dawniejsi.

P. N. odpowiada mi na to teraz:

1) iż (ulegając lirycznemu rozrzuwieniu) łudzę się co do tego, że literat dzisiejszy z dumą może mówić o zawodzie swoim,

2) Większość literatów opiera swą »niezawisłość moralną na dochodach« nie z zajęć literackich i niezależność ich na tem właśnie polega, że literatura nie jest dla nich zawodem.

3) O ile literatura jest zawodem, o tyle gorzej dla niej, »zawody bowiem wytworzyły istne niewolnictwo społeczne«.

»Zależność literacka jest u nas dopiero wytworem najnowszej epoki«. Teraz literatura zależy w najwyższej instancji od tłumu. »Gorsze to nie-

wolnictwo od zależności względem dawnego projektora literackiego«.

Pogląd p. N. na literatów przypomniał mi satyrę Naruszewicza »Chudy literat«.

Jegomość starej daty szydzi z »uczonochudego« literata:

— Szeląga nie masz w wacku, a długów po uszy, z tem wszystkiem pod pismami twemi prasy jęczą...

A ten odrzecz:

— Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swemi; mam dosyć ukarania...

Działo się to przed stu laty. Literat użalał się, że

Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie...

.....
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał...

Okropne było położenie wówczas pisarza niezawisłego od mecenasów. Nie kupowano książek. Można szlachcic podczas pobytu w Warszawie wstąpił do »sklepiku z księgami na farskiej ulicy« i »spytał na przechodzie: A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie, bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem i samemu przy piwku co przeczytać czasem«. Po długich wybieraniach i targach, »dawszy tynfa rudego«

Poniósł bibliotekę na ładunek głowy:
Receptę do drjakwi i kalendarz nowy.

Pomimo to powstała wtedy bogata literatura; pięknie rozkwitała! Proszę zajrzeć do Estrajchera i obliczyć, ile też w roku, dajmy na to 1789, wyszło książek polskich. Według moich obliczeń, wyszło około 1500 książek.

Obecnie, sądząc z przerażenia najnowszych przedstawicieli inteligencji na widok ilości wychodzących książek, można przypuszczać, że wychodzi ich u nas rocznie 4.500 co najmniej.

Jako żywo! Proszę zajrzeć do Estrajchera. W r. 1889, t. j. w sto lat po roku 1789, wyszło ich 1800 — zaledwie o 20% więcej. A przecież to sto lat niebylejakich! Ludność zwiększyła się w daleko większym stopniu, niż ruch wydawniczy, zwiększyły się zastępy warstw oświeconych i umiejących czytać. W ciągu tych stu lat wyspecjalizowały się liczne gałęzie nauk, o których przed stu laty nie było słyhać, druk zastosowano do potrzeb życia niemal codziennych; pomimo to ilość wydawanych książek wzrosła zaledwie o 20%! Gdzież może być mowa o nadprodukcji? Jakże tu mówić wreszcie o istnym potopie tandety, kiedy wiek XIX był dla naszej literatury epoką tryumfów, jakich nie zazналиśmy od czasów epoki Zygmuntońskiej? W tych 20% przyrostu ma się mieścić właśnie ta charakterystyczna dla naszych cza-

sów i gubiąca nas fala tandety, spłodzonej przez procederzystów? Nie wierzę... Jeżeli chodzi o jakość książek, jestem przekonany, że książki z roku 1789 zmieszczą się w 50% produkcji dzisiejszej.

Twierdzę, że książek wytwarzamy mało i te na ogół są lepsze, niż przed stu laty. Wystarczy przejrzeć powołanego Estrajchera, jakie książki wydano w latach odpowiednich; okaże się przewaga po stronie naszej epoki, pomimo że r. 1789 przypada w dobrej chwili ożywienia społeczeństwa.

Czemu wtedy, w tym r. 1789, kiedy pęd życia był duży, nie załamywano rąk nad obfitością literatury? A krytycy chwili bieżącej mogli to robić z większą słusnością, niż my dzisiaj, bo wtedy ktoby się obejrzał sto lat wstecz na swoją literaturę, toby widział, że gwałtownie ona wzbiera. Zajrzyjmy bowiem do Estrajchera pod datę 1689 r., a przekonamy się, że wydano wtedy rzeczy polskich 300. Przypuśćmy, że bibliograf nie doszukał się 200 druków z tej epoki, otrzymamy cyfrę 500, t. j. trzy razy mniejszą od cyfry z r. 1789. Toż to był przyrost, 300%! A na myśl o nim nie dostawał nikt zapalenia oczu. Czemu? Bo był wtedy, jak rzekłem, pęd życia.

Dziś zaczynamy się nudzić cywilizacją. Czy przesycił nas ten 20% przyrostu literatury za lat sto? Nie, doznajemy już abominacji na widok cywilizacji; nudzimy się przez analogję, wykluwamy zęby po obiedzie, zjedzonym przez kogo innego.

Zatykamy uszy na myśl, ile piór skrzypi na świecie, nie bacząc na to, że mamy wyobrażenie o tych piórach z opowiadania, bo koło siebie piór tych nie słyszymy. Jest to wielkie pytanie, czy mamy prawo pozwalać sobie na nudzenie się cywilizacją.

— — — — —

Zaledwo poczynamy wychodzić ze stanu barbarzyństwa, kiedy to ludzi, oddanych twórczości literackiej, wyzywano od skrobipiórków, mając ich za darmozjadów. Do dziś dnia młodzieniec w świat idący z zamiarem służenia społeczeństwu piórem, walczyć musi z otoczeniem i życzliwą mu rodziną, zaklinającą go, by nie szedł na poniewierkę. Tyle nadziei w synu pokładano, on idzie na marny chleb literacki. Co to za pozycja! Poniewierka od ludzi, brak chleba, dziurawe buty:

»Szeląga nie masz w wacku, a długów po uszy«.

Cóż to za zawód taki, który nie daje chleba, jeśli literat chce być niezawisłym moralnie, a kto chce bądź co bądź mieć z tego zawodu chleb, musi upaść moralnie? Można byłoby mówić o zawodzie literackim i być z niego dumnym, gdyby 1) dawał chleb i 2) nie wymagał zrzeczenia się dla chleba niezawisłości moralnej. Teraz większość literatów opiera swoją »niezawisłość moralną na dochodach« ze źródeł, po za literaturą leżących.

Całe nieporozumienie właśnie polega na tem że my niezawisłość moralną opieramy na docho-

dzie. Niezawisłość moralna opiera się bezpośrednio na charakterze, potem można mówić o wpływach materialnych. Tem luźniejszy jest stosunek moralności i dochodów u ludzi, znajdujących się na tak wysokim szczeblu rozwoju duchowego, jak literaci. Dochody, zyski pracy, »chleb« nie są bynajmniej zasadniczą cechą zawodów t. z. wolnych. Zawód należy do kategorii spraw społecznych, »chleb« ekonomicznych. Ludzie ciągną rydwan życia uparcie, aż do upadku sił, nie dlatego, że na końcu dyszla przywiązano im kłak siana; zawody powstały nie dla »chleba«, lecz że są korzystne dla samej sprawy życia społeczeństwa. Gdybyśmy obmyślili sposób zaspokajania potrzeb fizycznych w równej mierze wszystkich ludzi, zawody, o których mowa, istniałyby pomimo to, a bodaj właśnie dzięki temu rozwinęłyby się niepomierne. Do zawodu wolnego ciągnie nie chleb, nie on decyduje o wyborze zawodu, lecz upodobanie i poczucie odpowiednich zdolności; ciągnie jakaś siła tajemnicza, która jednostce nieświadomionej społecznie mówi: tutaj siły swoje wykażesz, tutaj się wypowiesz, tutaj znajdziesz sławę, szczęście, a uświadomionej szepcze: tutaj najlepiej będziesz mógł się przysłużyć sprawie życia społeczeństwa.

Czy zawód literacki u nas (nie mówię o ściśle dziennikarskim) kusi do siebie widokami zysków? Ludzie wybierają go dla chleba? Wątpię. Każdy inny zawód da go więcej; wchodzi doń z upodo-

bania zawodu. Czemuż nie kochają go stale, czemu przylepiają sobie »skrzydła z chleba« i zatruwają studnie umysłowości publicznej? To już kwestja charakterów, których żaden zawód nie stwarza, lecz czerpie je z ogólnych zasobów społeczeństwa.

Weźmy przykład. Bohatera powieści »Głód« Hamsuna oglądamy w takich okolicznościach, kiedy istotnie z głodu gotów jest palce sobie obgryzać. Jest literatem, pisuje feljetony, książki filozoficzne. Czy pójdzie do dziennika, obmyśliwszy podłą intrygę, i ucieknie się do szantażu? Czy napisze obrazek pornograficzny, który z chęcią nabędą handlarze? Czujemy, że tego nie robi, bo ma charakter; gryzie wióry z głodu, a nie sprzeniewierzy się idei swego zawodu. Weźmy z drugiej strony powieść K. Tetmajera »Anioł śmierci«, autora bardzo wziętego, pokupnego. W przedmowie spotykamy swego rodzaju *captatio benevolentiae* dla autora, który usprawiedliwia się z pewnych wad utworu tem, iż pisał go na zamówienie dziennika, nie zgadzającego się z nim w przekonaniach, musiał więc dla wydawców robić duże ustępstwa. Autor nie tylko nie czuje swego grzechu, ale chwali się nim w przedmowie. Cóż to jest?

Zawód temu nie winien, on cierpi na tę chorobę wraz z innemi zawodami, z całym społeczeństwem. »Skrzydła lepione z chleba« nie grają tu żadnej roli, bo ten sam »chleb«, którym autora

wynagrodził ów dziennik, łatwo było znaleźć autorowi gdzieindziej.

Jednem słowem »chleb« nie jest pierwiastkiem zasadniczym zawodu. Należą doń ludzie, oddający się robocie zawodowej, a czy czerpią dochody z tego procederu, czy pomagają sobie środkami innemi, to charakteru zawodu nie zmienia. O ich przynależności do zawodu decyduje ich własne poczucie, że to zajęcie, a nie inne stanowi probierz i ujście ich sił wewnętrznych.

Im wyżej stoi cywilizacja, tem głębsze łożyska w ustroju społecznym wyłabiają sobie funkcje życia ludzkiego i odwrotnie. Spełnianie zaś tych funkcji przez jednostki przybiera charakter pracy zawodowej, stałej, wewnętrznie skombinowanej, tak stałej i niedającej się zastąpić, jak stałe i nieprzypadkowe są elementarne potrzeby życia, leżące w podstawie ich zajęć.

Źródła twórczości — jeśli mowa o zawodzie literackim — były zawsze, *spiritus flat ubi vult*, lecz dopiero w społeczeństwie nowożytnem twórczość literacka stała się funkcją społeczną — do tego stopnia, że przestaje być rzeczą amatorską, lecz obowiązuje, jak powinność wojskowa, wszystkich, którzy są do niej uzdolnieni.

— — — — —

Pan N. utrzymuje, że »zależność literacka jest u nas dopiero wytworem najnowszej epoki... Gor-

sze to niewolnictwo od zależności względem dawnego protektora literackiego«.

Co to jest zależność literacka? Ekonomiczna? Niewątpliwie, biedują literaci w społeczeństwach mało cywilizowanych. Moralna? Jako cierpienie, zależność istnieje wszędzie; jako konieczność czynienia ustępstw moralnych, — istnieje dla charakterów słabych, nie znoszących zależności od przekonań własnych. Te dusze muszą być zawsze w niewoli, bo ona zapewnia swobodę ich instynktom antyspołecznym. W epokach przejściowych, jak nasza, będzie ich wiele w każdym zawodzie, bez względu na to, czy im się to opłaca materjalnie, czy nie. Jednak śmiem twierdzić, że w tej epoce, bardzo niepewnej pod względem etycznym, bo nieustalonej w pojęciach o stosunku jednostki do społeczeństwa, zawód literacki, jako posiadający najwięcej możności rozumienia tego stosunku, wyróżnia się wśród innych zawodów korzystnie. Zwłaszcza jest to widoczne w naszym społeczeństwie.

Nie mówię o samych ludziach, należących do zawodu, bo nie przeczę, że jest między nimi, jak i w innych zawodach, sporo kanalji, zamiłowanej w brudnem życiu, wierzącej w to, że brak sumienia należy do szyku dzisiejszej cywilizacji; są literaci, szerzący zepsucie wśród swego otoczenia, które broni się od nich sądem, drukiem, kijem: widzę jednak z drugiej strony, że to ich zepsucie stosunkowo mało udziela się literaturze. Widzę na-

wet postęp w porównaniu z wiekiem zeszłym. Literaci, jakkolwiek zachowują się w życiu, — w tem, co piszą, więcej szanują swoją godność osobistą i godność społeczeństwa, bo tworzą niejako w jego imieniu i uważają się za wykonawców jego funkcji. Postęp to względnie duży, jeśli uwzględnimy, jak wiele szumowin społecznych napłynęło dzisiaj do wszystkich zawodów, więc i do literackiego. Jeżeli w tych warunkach literatura nie upadła, jeżeli owszem rozwija się jakościowo, zawdzięczamy to — mojem zdaniem — temu, że stała się zawodem, t. j. że literaci stali się zawodowcami w znaczeniu nowożytnem, zależnemi wprost od społeczeństwa. Społeczeństwo zaś, jako całość, jeśli jest żywotne, nieprawością karmić się nie może.

P. N. utrzymuje, że dzisiejsza niewola społeczna jest gorsza, niż dawna zależność od protektorów. Jestem pewien, że się myli. Dla godności ludzkiej literatów i dla literatury samej owa »niewola« przedstawia pewne korzyści.

Zresztą nie powrócą te czasy, choćbyśmy do nich tęsknili. Nikt nie napisze teraz pieśni do mecenasu wzorem Horacego, nie pójdzie nikt śladem Trembeckiego, Naruszewicza, Molskiego, bo dzisiaj przyświecają naszej robocie zawodowej ideały wyższe, niż łaska protektorów. Lucjan Siemieński jeszcze przed 40 laty zorjentował się doskonale w swojej sytuacji literackiej, kiedy pisał:

»Kto wie, jak wysoką wartość przywiązuje pi-

sarz i artysta do niezawisłości osobistej, która mu daje swobodę wewnętrzną, ten pojmując, że stosunek jego z księgarzem, opierający się głównie na zamianie owocu pracy za pieniądze, jest najznajmniejszym stosunkiem ze wszystkich, przez jakie przechodził rodzaj autorów, zaczawszy od Homera, śpiewającego u wrót za jałmużnę lub kawał chleba, aż do ostatniego z nadwornych rymotwórców, piszącego odę na cześć suczki faworytki, ażeby zwrócić oko pańskie na stan swej smutnej garderoby... «

— — — — —

Zmieniają się stosunki społeczne. Dzisiaj Trembecki, nawet ze swoim charakterem, ani Naruszewicz nie pisaliby pieśni bałwochwalczych na cześć swoich protektorów, nie dla tego, że nie mogliby ich znaleźć, lecz dla tego, że inne ideały obowiązują dzisiaj pisarzy. I wtedy pisali oni ody nie tylko wyłącznie dla »chleba«, lecz pod naciskiem pewnego ideału społecznego. Wymagał tego feudalizm duchowy, który był cechą tamtych dni.

Pod koniec dopiero XVIII wieku pękać zaczęły więzy tych ideałów społecznych, a w miarę ich przekształcania się występuje nowy typ literata »chudouczonego«, który bada już naturę społeczeństwa, swego przyszłego pana, i od niego oczekuje wybawienia. Dopiero wtedy, wyzwoliwszy się z pęt feudalizmu, stał się on osobiście niezależnym.

Bardzo pożytecznie jest w tym właśnie roku rozważyć sobie, co zawdzięczamy w literaturze ostatniemu stuleciu. Uprzytomnijmy sobie przełom, dokonany ostatecznie przez romantyków naszych na początku tego stulecia. Czegóż dokonał ten romantyzm? Dla czego od romantyzmu rachujemy nową erę naszego piśmiennictwa?

Romantyzm stanowi wybitną epokę w rozwoju naszego piśmiennictwa nie dla tego, że był »romantyczny«, ludowy czy inny, tylko dla tego, że przyniósł wyzwolenie osobowości pisarza. Osobowość, indywidualność w twórczości jest cechą zasadniczą romantyzmu, wszystkie inne znamiona tego ruchu były względnie do tamtej cechy pochodnymi lub przypadkowymi. O tę indywidualność romantycy walczyli, nie o co innego, tworząc literaturę nowożytną.

Dawniej »zależność literacka« polegała nie tylko na tem, że karjera literata była zależna od łaski mecenasa, lecz i na tem, że literat był niewolnikiem myśli i formy względem uświęconych powag literackich. Z tej niewoli skostniałych ideałów społecznych, z niewoli t. zw. klasycyzmu literatura mogła się wyzwolić nie wcześniej, jak dopiero po pewnem uniezależnieniu się społecznem zawodu samego. Chudy literat Naruszewicza, prototyp zawodowca nowożytnego, czekał jeszcze kilka dziesiątków lat na jawną walkę na całej linii ze starym porządkiem rzeczy. Dopiero kiedy znalazł się

w bezpośrednim stosunku z publicznością czytającą książki, kiedy poczuł, że stoi pewniejszą nogą w społeczeństwie, wtedy dopiero porwał się do walki o prawa twórczości niezależnej, o prawo wypowiadania własnych myśli i uczuć w formie, jaką uzna za stosowną. Jednem słowem podstawę dzisiejszej twórczości literackiej: indywidualność autorów, ich szczerość, niezależność zawdzięczamy pośrednio nowemu ukształtowaniu się w społeczeństwie samego zawodu. Taka np. »Oda do młodości«, ten istny hymn życia, mogła powstać dopiero w tej nowej epoce naszego piśmiennictwa. Mickiewicz zrobił ją z tego samego materiału językowego, udoskonalonego do podziwu przez Trembeckich, z którego dawniej wyrabiały się ody do mecenasów i do ich kochanek, a jednak jest to nowa, odmienna literatura. Wstąpił w nią nowy duch, odkąd się wyzwolono od mecenasów.

Zależność od zbiorowości społecznej nie jest »niewolą«. Pisarz, kierujący się w twórczości nie upodobaniem jednostki lub chwili, lecz wyrażający w sobie jakiś prąd umysłowy społeczeństwa żywego, nie ma na sobie więzów, prócz — zobowiązań względem ideałów ogólnoludzkich. Zobowiązania te, których poszanowanie stanowi warunek nieśmiertelności pisarzy, ciążyły na nich zawsze, lecz w epoce mecenasów krzyżowały się z obowiązkami względem ideałów szczególnych pewnych

jednostek, które reprezentowały poglądy nie najlepszej warstwy, lecz najmożliwszej. W dzisiejszych warunkach pisarz ma możliwość służenia ideałom warstwy przodującej społeczeństwu, ma możliwość, wsparłszy się na niej, dotrzeć przez nią do społeczeństwa i myśl zbiorową prowadzić na przód.

Naturalnie i w tych warunkach dusze niewolników znajdują sposób oddziaływania antyspołecznego, wiążąc się z grupami, hamującymi rozwój społeczeństwa, lub grającymi w niem (jak tłum) rolę bierną. Ten stosunek rozpustny do społeczeństwa pisarzy-pochlebników, polegający na wmaławianiu twórczej myśli społecznej tym, którzy jej nie posiadają, stosunek ten nie stanowi cechy zasadniczej piśmiennictwa nowożytnego.

Jednostki te mogą teraz łatwiej, niż kiedykolwiek dawniej, wiązać się w syndykaty za pośrednictwem księgarzy i wydawców dzienników i żerują na polu walki, żywiąc się padliną, obdzierając trupy lub markietując w tłumie pospólstwa; lecz te stada kruków niech nam nie zasłaniają istotnego położenia rzeczy. Myśl twórcza społeczeństwa w rynsztunku nowożytnego piśmiennictwa kroczy dzisiaj naprzód stopą pewniejszą, niż dawniej. Cóż że, parodjując ją, biegną za nią śmieciarze, jak wrony za pługiem? Wrony ani orzą, ani roli przeoranej do dziewictwa nie powrócą.

Dzisiaj prawdziwy talent, rzetelna myśl ma

możność bezpośredniego oddziaływania na życie, nie czekając stuleci na swą kolej; wszystko zaś co nie jest istotnym dorobkiem ducha, przepada prędko, jak dym. Patrząc zblizka, wydaje się nieraz rzeczą rozpaczliwą, jak opinia skłonna jest do pomyłek, gdy wynagradza pracę niezgodnie z zasługą. Lecz dosyć wznieść się na wysokość historyka paru lat przebieżonych, aby spostrzec, jak okrutną jest ta opinia dla tych, co ją podeszli, a jak miłościwą dla zapoznanych. Opinia dzisiaj załatwia się z wymiarem sprawiedliwości bardzo prędko. Dandys literacki, pomimo wielkiego na razie powodzenia, zaledwie zdoła wejrzeć na swoją sławę, już ginie pod falą aktualności i niemasz krytyka, któryby się po niego schylił. Nie przepadają jednak teraz tak łatwo, jak dawniej, talenty szczere w niepostrzeżeniu, zasługi rzetelne — w zapomnieniu. Społeczeństwo dzisiejsze w publicystyce i krytyce bilansuje skrzętnie swoje siły i te wszechstronniej wyzyskuje i wynagradza uznaniem sprawiedliwiej i prędzej, jeszcze za życia. To, co się mówi w dziennikach po śmierci wybitnych ludzi o krzywdach, jakich doznali ze strony społeczeństwa, jest zwykle przesadą. Jednostka twórcza nie ma nic do brania, tylko wszystko do oddania; więcej nie może dać, niż posiada, a jeżeli dała mniej, to ona skrzywdziła społeczeństwo.

Powracając do wymiaru sprawiedliwości, doko-

nywanego przez opinię, podkreślić należy, że w piśmiennictwie organem jest krytyka; ona wyobraża świadomość piśmiennictwa co do jego środków i celów. Wszystko, co można zrobić dzisiaj dla uzdrowienia i wzmocnienia literatury, mieści się w potrzebach krytyki. Nadmiar produkcji literackiej, choroby zawodu pisarskiego nie będą dla piśmiennictwa groźne, jeśli nad niem czuwać będzie dobra krytyka. Ona z płomiennym mieczem strzec powinna wrót literatury, pozostawiając za jej progiem wszystko, co właściwej literatury nie stanowi.

— — — — —

Te bardzo pobieżne uwagi, przygodnie rzucone na papier, kreśliłem w duchu optymistycznym nie dla tego — powtarzam — żebym nie czuł wraz z p. N. obrzydzenia do dzisiejszych tu i ówdzie stosunków literackich i wydawniczych, lecz niejako z obawy, żeby mnie samemu stosunki te nie przesłoniły widoku na istotne położenie rzeczy. Pragnąłem sobie sformułować, czy istotnie tak źle jest z dzisiejszym piśmiennictwem i przyszedłem do wniosku odmiennego. Z powodu niskiego poziomu oświaty ogólnej u nas istotnie procederzyści rzucają od siebie cienie dosyć wydłużone, lecz pesymizm z tego powodu nie wydaje mi się tutaj właściwym, bo światło wschodzi, nie zachodzi i cienie te skrócać się będą.

Poglądy zbyt pesymistyczne na teraźniejszość

cywilizacji społeczeństw europejskich utwierdzają we mnie przekonanie, że nie umiemy na nią patrzeć należycie. Wyznaczamy teraźniejszości jakiś obszar bezkreślny, nie wiążąc jej z przeszłością i przyszłością, podczas gdy ona jest właściwie poprzeczną linią geometryczną między niemi. Rozważamy życie tak, jakby dziś się zrodziło, a z uderzeniem zegara, z nastaniem jutra, miało zamienić się w jakieś życie całkiem nowe, z odmiennych źródeł bijące. Tymczasem przyszłość sami robimy; zaczęła się już od nas, odkąd posiedliśmy pewien ideał przyszłości. Musi w to wierzyć pokolenie żywotne; przestaje być takim, kiedy zaczyna wątpić, czy szczybel rozwoju duchowego, na którym samo stoi, leży istotnie na drodze do celu prowadzącej. Dla tej przyszłości swojej pracuje się nie dla tego, że dzisiaj jest źle, lecz — że doskonalenie życia w myśl ideału jest warunkiem ciągłości życia. Potępienie teraźniejszości nie jest warunkiem zasadniczym tworzenia przyszłości. Owszem, poczucie, że dzisiejsze warunki egzystencji duchowej, na obecnym szczyble cywilizacji są postępem względnie do dawniejszej epoki, — to poczucie dodaje siły do pracy. Bo pracuje się tem sporzej, im więcej czuje się możliwości działania; kiedy zaś nie widzi się tej możliwości, kiedy duch widzi się raczej zapędzonym w błoto, wtedy płuć tylko może na przyszłość:

Vogue la galère! Niech płynie łódź
Przez jakie chce odmęty...
. Do djabła wiosła:
Na bagna z wiosłem fala zniosła,
Więc precz!...

